Wizyta pod latarnią... — RafalSulikovski

Od autora: Trening twórczy codziennie.

I

Idąc ulicami dawnego królewskiego miasta, widziałam te wszystkie szyldy, banery, reklamy i inne bajery ponowoczesności. Tu ktoś szedł ubrany jak na wybiegu agencji modelek, a zaraz za rogiem kościoła św. Marka siedział żebrak, obok którego ustawiono puszkę. Minęłam jednego i drugiego obojętnie, bo moje serce ktoś zamieniał właśnie w lodowaty kamień. Brama przy Sławkowskiej ozdobiona niebieskimi tabliczkami – jakiś prawnik, fryzjer, a na I piętrze, do którego szło się ciemnym korytarzem dyżurował psychiatra. Weszłam schodami solidnymi, ściany czyściutkie, wszędzie pachniało pastą do podłogi. Zamiast dzwonka staromodna kołatka w kształcie głowy lwa z mosiądzu. Drzwi otwarły się chyba same, nikogo w przedpokoju, więc idę dalej, a na końcu pokój, gdzie dyżurowała sekretarka. Ubrana niezbyt modnie, chyba panna starej daty, brakowało jej tylko rogowych okularów i naszyjnika z pereł.

Weszłam z pewnym… takim… ociąganiem. W końcu przebywałam w miejscu udręki, owianym tajemniczą osłonką mgielnych wyziewów, gwałtownych erupcji nastroju, to znów dolinnych klimatów. Usiadłam na krześle, które przypominało spokojną, leciwą i leniwą secesję. Obok wielki stół, na nim lampa naftowa, kałamarz z piórem, wielkie koperty z lakowymi pieczęciami, na ścianach obrazy z pól bitewnych i portrety jakichś ważnych person. Umeblowanie jak retro – wielkie szafy gdańskie, głęboki fotel, kozetka, a w oknach ciężkie story, które chyba trudno ściągać do prania i z powrotem zawieszać. W kącie dostrzegłam ebonitową laskę, a na stojaku ciemny płaszcz i kapelusz o niedzisiejszym kroju.

Dziwne uczucie, jakby ten cały gabinet był bladą kalką tamtych dawnych gabinetów, gdzie pacjenci leżeli na kozetce, opowiadając swoje mroczne historie. Skojarzenia moje pobiegły naraz w tereny wiedeńskie, małomiasteczkowe, jakby średnia klasa nadal świetnie prosperowała. Gdzieś w półmroku dostrzegłam nareszcie starszego mężczyznę z brodą i lenonkami, w dobrze skrojonym garniturze i nienagannym krawacie koloru szarego. Wcale nie wiedziałam, jak się zachować. Z kłopotu wybawił mnie doktor, który sam odezwał się pierwszy.

II

- Zatem co Pannę sprowadza w moje progi? - Panie doktorze, nie mogę spać, dręczą mnie własne myśli, uczucia mam rozbiegane, a w życiu brak celu.

- W tym, co Pani powiedziała czuć smutek osoby, która zaczynając dorosłe, lecz nadal młode życie stoi na rozdrożu…nie wie, w którą stronę pójść, chce się przekonać...

- Pochodzę ze średniej klasy, moi rodzice są inteligentami.

- Pani Ojciec?

- Pracuje w PAN.

- Przepraszam, w czym?

- W Polskiej Akademii Nauk, dawniej Polska Akademia Umiejętności…

- Obecna nazwa.

- Że co?

- Nazwa, którą Pani wymieniła brzmi niedokładnie. Mamy PAU, nie jakiś PAN.

- Nie wiem, słyszałam od Ojca…może źle zapamiętałam.

- Kłopoty z pamięcią, kojarzeniem?

- Od wielu tygodni, miesięcy…nie mogę skupić się na zajęciach.

- Pani studiuje?

- Tak, teologię na PAT.

- Przepraszam, na czym?

- Papieska Akademia Teologiczna, działa od 1981 roku.

- Hmm, Pani wspomina, by tak rzec, hmm… odległą przyszłość…czyżby wiedziała, co się zdarzy za lat 80…?

- Nie rozumiem, PAT działa już 20 lat, zakładał go sam Papież, Jan Paweł II.

- Papieżem jest Pius X moja droga panno…a to wszystko, co Pani mówi, niestety, nie odpowiada rzeczywistości. Podejrzewam przedwczesne otępienie, dementia praecox…w rozumieniu Kraepelina.

- Ja znam inną nazwę, mieliśmy to przedwczoraj na konwersie z psychologii – „schizofrenia", wprowadził ją w 1911 Bleurer…

- Mamy rok 1902, a Bleurer nigdy publicznie ani w prywatnej korespondencji do mnie nie wspominał o nazwie, jaką raczyła pani wymienić…skąd Pani wie o jego badaniach?!

- Który rok?! Przecież żyjemy w początkach…w 2001 roku, panie doktorze, nie rozumie mnie Pan?!

- Uważa Pani, że mamy rok 2001?

- Dlaczego zadaje mi pan takie „proste" pytania…?!

- Bo nie mamy roku 2001…

- Niemożliwe, urodziłam się w 1978, proszę, tu jest mój dowód osobisty?

– Dowód jaki?!

- Proszę zobaczyć.

– Oo, Pani ma zdolności artystyczne? Dziwi mnie tylko awangardowa forma dokumentu…

- To jakaś paranoja…

- Droga Panno Magdo, pani jest, niestety, w obłędzie…no ale terapia Pani pomoże…

- Czy Pan zapisze mi leki?

- O jakich lekach mówi Pani?

- No, na przykład antydepresyjnych, uspokajających…boję się, nie mogę spać, mam depresję…

- Depresję?!

- Czuję bezsens tego wszystkiego dookoła…to się nazywa chyba depresja, pan jest lekarzem…

- Ja widzę w Pani melancholijny smutek, nie żadną jak to Pani nazwała, tworząc nowe słowo, którego nie znam, „depresję"…Droga panno, terapia Pani, dziś szczęśliwie rozpoczęta, będzie bardzo długa i trudna. Medycyna nie przynosi nikomu szczęścia, ale pozwala żyć nieco lepiej. Od tej chwili Pani musi być spokojna, chodzić na terapię i ufać w mądrość natury. Widzimy się za tydzień.

III

Wyszłam czym prędzej. Byłam w wielkogabarytowym szoku. Ten dziwny lekarz, który grał kogoś innego niż był naprawdę nie zapisał mi żadnych leków, lecz zaproponował długą terapię, pewnie psychoanalizę, aby odkryć pokłady emocji projektowanych z nieświadomości, wszelkie lęki z dzieciństwa, wszystkie kompleksy. Tyle to i ja wiem, lecz nie mam czasu na długie terapie. Przecież są coraz lepsze leki, a ten doktor nawet nie wie nic o ich istnieniu! Jakbyśmy rozmawiali różnymi językami, jakby dla niego świat stanął w miejscu ponad sto lat temu…

IV

Poszłam prosto do domu, w ogóle nie zwracając uwagi na to, co się dookoła mnie działo. Na szczęście nie miałam daleko. Wybrałam spacer, żeby uniknąć oceniających mój wyzywający styl teologiczny spojrzeń gapowiczów. Kiedy przekręcałam klucz „Gerda" w zamku mieszkania studenckiego na os. Handlowym 6, wiedziałam, że wracam jakby z jakiegoś innego świata. Nie, nie tego z obozami śmierci, lecz ze znacznie bardziej odległego, świata, którego jedynym znakiem była gazowa latarnia, która mignęła, dam na to całą głowę, za oknem gabinetu psychiatry, a która - przez moment miałam to mocne wrażenie - była naprawdę na gaz.

V

Dokładnie tydzień później wchodziłam w tą samą bramę. Od razu dojrzałam smutny fakt, że ktoś przez ten czas zdemolował ściany, przed siedmioma dniami nie były tak popisane, tak wymalowane jakimś prymitywnym graffiti, które mnie razi. Ba, nawet schody już nie skrzypiały, bo były już z innego drewna. Coś się widocznie zdarzyło, jeju, jak oni zdążyli przez jeden jedyny tydzień coś takiego zrobić z tak zabytkową kamienicą. Dziwne, ale sekretarki sprzed tygodnia dziś nie było. Zamiast niej za biurkiem siedział jakiś młody yuppie, stukając coś szybko, niczym socjalistyczna stenotypistka, w swoim laptopie. Weszłam z nową, lecz znaną obawą połączoną z nadzieją, że może wreszcie poczuję się choć trochę lepiej.

- Witam, pani pierwszy raz?- powiedział młody lekarz, widać ukochany, wierny zmiennik.

– No, drugi…Byłam wszak tydzień temu…

- Nie przypominam sobie…nigdzie nie ma Pani karty.

- Przyjmował mnie jakiś pana kolega, taki starszy szpakowaty pan…ale widzę, że międzyczasie był remont gabinetu…wszystko jest takie inne.

- Droga Pani, zacznijmy od początku. Widzę panią pierwszy raz w życiu, już nie takim krótkim, a tę oto praktykę prowadzę od jakiegoś czasu sam, czyli w pojedynkę.

- Niemożliwe, Jezu, co się dzieje? Ja tu byłam…

- Proszę mi opowiedzieć więcej o tej „wizycie".

- Przyszłam przed siedmioma dniami, dokładnie 2 września, mam 24 lata, studiuję teologię. Przyszłam, bo nie mogę spać, nie mam apetytu, wszystko jest takie bez sensu…no i w tym…hmm, gabinecie przyjął mnie bardzo miły doktor, nie pamiętam nazwiska, aha chyba dr Polewka, no tak, to on mi powiedział, że na moją chorobę nie ma żadnych lekarstw…

- Droga pani, żaden lekarz nie ma prawa tak mówić. Dziś, w XXI wieku mamy coraz więcej leków, także na dolegliwości natury psychiatrycznej…ale proszę dalej.

- Mówiłam mu o sobie, ale on nie chciał słuchać, ciągle powtarzał, że jest rok 1902, że nie istnieje żadna „schizofrenia", bo ja opowiedziałam mu o Eugene Bleurerze i jego badaniach…powiedział, że uroiłam sobie, że żyję w XXI wieku i kazał przyjść za tydzień.

- Pani mi opisze wygląd tego doktora – powiedział zmienionym nagle głosem lekarz. – Dokładnie - dodał. Kiedy to zrobiłam, lekarz długo myślał, spuszczając nieznacznie głowę i wzrok.

– Pani przyjdzie za tydzień – rzekł cicho dziwnym głosem. Wyszłam tedy, lecz nie wiedząc, co to wszystko właściwie ma znaczyć.

Tymczasem zaraz po wyjściu Magdy młody lekarz wstał i z wolna, dostojnie, uroczyście i majestatycznie podszedł do szafy. Wyjął z niej teczkę. Znajdowała się tam stara, pożółkła fotografia, przedstawiająca starszego, szpakowatego pana z brodą, a w rogu na rewersie widniały inicjały A.P. Między stertą papierów znalazła się też mocno podniszczona odręczna notatka, zrobiona pięknym, wyuczonym zapewne na lekcjach kaligrafii, pochyłym pismem ręcznym. Jej treść brzmiała następująco: „Dziś, 2 września 1902 r. zjawiła się nowa pacjentka. Twierdzi, że jest rok 2001. Objawy sprzeczne, diagnoza niejednoznaczna. Nietypowa postać „dementia praecox"? Nie zjawiła się na umówioną tydzień później wizytę."

***

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

RafalSulikovski, dodano 22.08.2019 10:17

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.